

WYCHODZTWO POLSKIE

I

STAN PARANA W BRAZYLI.

WYKŁAD

ZENONA LEWANDOWSKIEGO

NA POSIEDZENIU WALNEM

PRZYRODNIKÓW I TECHNIKÓW TOW. PRZYJ. NAUK, ODBYTEM

DNIA 2-go MARCA 1902.

Stan Parana założony został w r. 1853. Poprzednio stanowił tylko powiaty Paranagua i Kurytyba, które należały do stanu S. Paulo. Liczy 244.000 klm. , tj. mniej więcej tyle, co Turcja.

Graniczy na północ z dość zaludnionym przez Włochów stanem S. Paulo — na zachód z stanem niemal bezludnym, pokrytym lasem dziewiczym, Matto Grosso, Paraguayem i Argentyną — na południe ze stanem Sta Katarina, zamieszkałym przeważnie przez Niemców z domieszką Polaków i stanem Rio Grande do Sul -- na wschód z Oceanem atlantyckim.

Granice Parany stanowią ze wszech stron olbrzymie rzeki, które są w większej swej części spławne i to o tyle, o ile na to progi skaliste i wodospady pozwalają. Na południe od strony Św. Katarzyny pod względem politycznym nie są granice stanu zupełnie ustalone, od strony Matto Grosso (t. j. od zachodu) są nie znane jeszcze pod względem naturalnym. Olbrzymie są tam lasy dziewicze, zupełnie nie zamieszkałe, zupełny brak ścieżek, klimat zwrotnikowy, plaga moskitowa utrudniają badanie. Dla rządu nie ma widocznie bliższe poznanie kraju i granic jego wielkiego znaczenia, bo ziemi wszędzie tam pod dostatkiem. Na najnowszych mapach rządowych czyta się jako bliższe określenie „Sertaa desconhecido“ (puszcza nieznaną). Sąsiadujące oba stany Parana i Matto Grosso nie mają ze sobą bezpośredniego połączenia kołowego, to też wytrawnym tylko wycieczkowcom udaje się przedrzeć przez gęszcze leśne, wody i góry. Główna komunikacja i przewóz towarów odbywa się 10 razy dłuższą drogą.

Klimat i charakter Parany dzieli się na trzy odmienne strefy. Cały szmat nadmorski od 3 do 30 mtr. wyższy nad poziom morski, szeroki około 50 klm., sięgający aż do gór Serra de Mar, które niemal przez całą ciagną się Brazylię równolegle do brzegu morskiego, ma klimat łagodny, tropikalny. Klimat ten chłodzą wiatry, wilgotne powietrze morskie i częste opary. Temperatura waha się między + 10 a 35 + R. Pojawia się tu febra żółta i tym podobne choroby tropi-

kalne, jeżeli się je wniesie, nie przybierają jednak nigdy szerszych rozmiarów. W drngiej strefie umiarkowanej, mniej więcej o klimacie włoskim, leży część kraju, sięgająca od wspomnianego już pasma gór nadmorskich Serra do Mar aż do gór Serra da Espèranga na południe, a do rzeki Parana na zachód i końca gór Apucarana na północ. Jestto właściwie płaskowzgórze złożone z kompleksu gór, z których najwyższa wznosi się na 1700 m. nad p. m. Od połowy poczyną się to płaskowzgórze stopniowo pochylać w stronę ku zachodowi i przybiera w miarę obniżenia coraz to cieplejszy klimat. Rzeki nie płyną ku morzu atlantyckiemu bezpośrednio, tylko ku zachodowi. Wąwozy i wcięcia ułatwiają komunikacją między dolną a górną częścią kraju.

Trzecia strefa, więcej tropikalna, okolica nadmorska, rozciąga się po za opisanym płaskowzgórzem ku zachodowi i mało dotąd jest znaną, jak to już przy opisywaniu granic wspomniałem. Kwitło tam już kiedyś życie kulturalne. W wieku XVI wyruszyli, jak wiadomo, jezuiti w głąb gór i lasów z zamiarem zyskania dzikich dla wiary chrześcijańskiej. Założyli kilka miast. Misye upadły r. 1631; pozostały ruiny, które świadczą o dawnej ich świetności.

W ogólności więc uważać można klimat parański za ciepły i wilgotny, w środkowej części kraju za umiarkowany i bardzo zdrowy, nawet dla przybyszów. Zima tam bywa nieraz dość chłodna a przypada na czerwiec, lipiec i sierpień; lód i śnieg nawiedzają jako gość częsty. Roslinność zanika po większej części, tylko w głębszych lasach utrzymuje się i daje wyżywienie bydłu, które w porze zimowej licho odżywiane, chodzi i nieraz zdycha z wycieńczenia i głodu.

Wiosna następuje z całą wspaniałością.

Płaskowzgórze składa się z pokładów powstałych z rozkładu piaskowca, w dolinach przeważa trachit i dolomit. Wielka ilość tlenu żelaznego w niektórych miejscach nadaje ziemi barwę zupełnie krwistoczerwoną. Podróż w lecie w takich okolicach jest bardzo przykra, bo ciało i odzież przyjmują wkrótce barwę czerwoną, jakby je czerwienią angielską zasypano.

W górach znajduje się wyśmienita ruda żelazna, rtęć, miedź, antymon, złoto, srebro, węgiel w wyborowym gatunku, sól, marmur oraz liczne źródła mineralne. Skarbów tych nikt dotąd nie wyzyskuje. Stoją temu na przeszkodzie niestałość stósunków, częste rewolucye polityczne i nieudolność Brazylijczyków. Zagraniczni kapitaliści nie znajdują tam dostatecznego zabezpieczenia swego mienia. Przed kilku laty wydobywała kompania angielska dyamenty z rzeki Tibagy.

Cały kraj pokrywa odwieczny, najróżnorodniejszy las a w nim kryje się nieprzebrana flora, najwspanialsza w świecie, słynna ze wspa-

niałych barw i kształtów. Dotąd naliczono przeszło 20,000 gatunków roślin. Na płaskowzgórzu istnieją w niektórych okolicach z natury bezleśne polanki, zwane „campos“. Są to obszary porośnięte szorstką, dłuższą, miejscami krótką trawą. Wedle pojęć brazylijskich uważane są za nieużytki dla uprawy różnej i służą za pastwisko. Podkład stanowi szczyry piasek albo czarnoziem, któremu będzie prawdopodobnie brakowało fosforanów i wapna.

Jezior i wód stojących jest bardzo mało a liczne rzeczki i źródła posiadają wartki górski bieg.

Ziemię zajęte pod uprawę i drogi nie wchodzi zupełnie w rachubę wobec olbrzymich terytoriów leżących odlego.

Zwierzta w lesie stósunkowo bardzo mało. Dwa są gatunki dzików, tapir, dwa gatunki mrówkojadów, jeżozwierz, wydra, świnka wodna i kilka gatunków małp. Zwierzta drapieżnego niemal jakby nie było. Trafia się jaguar zwykły i czarny, czerwony wilk, żbiki, lis, kuna. Ptactwa jest więcej: czaple, gęsi, bociany, kaczki, dwa gatunki kuropatw, czajki, dzięcioły, kacyki, zwłaszcza zdobnych większych i mniejszych papug jest bardzo wiele, prócz tego niezliczona ilość z największym przepychem upstrzonego maleństwa, jak kalibry i t. d.

W wielkiej obfitości znajdziesz wszędzie najróżnorodniejsze owady, gady i płazy, o najpiękniejszych barwach. Ze zmierzchem pojawia się kilkanaście gatunków komarów, niektóre są tak małe, że je dostrzedz trudno a nienasycona ich krwiożerczość i chytrych dla wycieczkowców prawdziwą plagą.

Drugim o wiele dotkliwszem utrapieniem są mrówki, znajdując się w kilkunastu odmianach, z którymi przychodzi nieraz staczać zapalczywe walki. Mrówki wędrujące urządzają pochody jak wojsko i niszczą całe okolice.

Największymi i najjadowitszymi z węży są grzechotnik, wąż kolorowy, jararaca. Zbyt kowna roślinność, strojna nad miarę w barwy i kształty, jest niemal bez woni i zapachu. Ptactwo, imponujące grą barw i zachwycającym deseniem swego pierzastego odzienia, nie śpiewa, przeto wycieczkowiec wdarszy się z trudem za pomocą siekiery i noża między powoje, trawy, trzciny, krzaki dziewiczego lasu, doznaje przygnębiającego wrażenia. Grobowa cisza, woń stęchlizny gnijących roślin odstrasza go.

Odległe części kraju zamieszkują nie zbyt liczni Indianie. Nazwy szczepów są: Coroados, Guarani, Kaingua, Metysy, Botokudzi. Żyją wprost w lasach, koczując lub stale we wioskach „Aldeamentos“ zwanymi, i żywią się i w miarę nabytej oświaty: z polowania, owoców leśnych, robaków lub rolnictwa. Tylko szczep Botokudów, sąsiadujący

z kolonią polską Luceną, położoną nad granicą stanu Św. Katarzyna, opiera się zasadniczo wpływom cywilizacji, żyje wyłącznie z myśliwstwa, jest niedostępnym i groźnym.

Nieliczne miasta i wsie zamieszkują przeważnie Brazylijczycy, jako pierwotni osadnicy. Stanowią oni mieszaninę Portugalczyków, powstałą z związku z Indyankami i murzynkami. Później przybyła przymieszka potrosze Włochów, Hiszpanów, Niemców i Polaków. Językiem ich jest portugalski, który jest równocześnie językiem urzędowym. Wyznania są rzymsko-katolickiego. Nie przedstawiają oni między sobą szczepowo i fizycznie nic wspólnego. Widocznie, że to zlanie i przetrwanie się ras nie dobiegło jeszcze kresu. Odpowiednio do tego spostrzega się Brazylijczyka o zupełnie białej cerze jako typowego blondyna, innego znów cytrynowej barwy, w dalszym ciągu szarego, czekoladowego i czarnego jak heban, lub też białego a z przewróconymi murzyńskimi wargami, małemi uszami i wełnistym włosom i na odwrót czarnego z rysami europejczyka. Kobiety ostatniego typu bywają nader piękne. Często widywałem przy piersi czarnej matki bielutkiego dzieciaczka i na odwrót biała matka niosła czarnego malca na rękę. Widocznem tu jest, że potomstwo nie zajęło pośredniego stanowiska, tylko przeważało na stronę ojca lub matki.

Odmianę Brazylijczyków przedstawiają „ludzie leśni“ t. z. cabaclos. Są to zdziczali wychodźcy, pochodzenia europejskiego, których przodkowie z najrozmaitszych powodów zmuszeni osieść samotnie w głębi lasów, mieszkają tam już od kilku generacji. Trudnią się polowaniem lub prymitywnem rolnictwem. Chleba nie znają, w miejsce jego spożywają mąkę z mandioku, mieszkają w szałasach, bez drzwi i okien. Odnaczają się szczerością i gościnnością, lecz przy najmniejszym podrażnieniu przeistaczają się w krwiożerczego zwierza.

W licznych koloniach zamieszkują wyłącznie Polacy i trudnią się przeważnie rolnictwem a mało co rzemiosłem i handlem. Okolice skolonizowane przez Polaków znajdują się na wysokości około tysiąca metrów n. p. m., przeto klimat krainy wyniosłej, jak szczyty karpackie, jest umiarkowany, pomimo że znajduje się na południowej półkuli pomiędzy 23m do 27m stopniem szerokości geograficznej, w takiej bliskości równika, jak północna Afryka a mianowicie Sahara. Tu i owdzie spotkać można kolonię włoską, niemiecką lub mieszaną, lecz nie wchodzi one przy produkcji ziemiopłodów wcale w rachubę. Polaków liczy stan około 60 do 80 tysięcy na ogólną cyfrę mieszkańców 250—300 tysięcy.

Z miasta portowego Paranagua prowadzi do stolicy stanu Kurytyby wązkotorowa kolej, która rozchodzi się następnie w dwa niezbyt

długie ramiona ku północy i południowi. W budowie jest kolej ze stanu S. Paulo przez stan Paragę do Śtej Katarzyny. Przez kolej tę nastąpi równocześnie połączenie w podłuż całej południowej Brazylii, poczynszy od stolicy związku, Rio de Janeiro aż do miast Rio Grande i Porto Alegre w stanie Rio Grande do Sul.

Koleje nie roznoszą kultury na sposób północno-amerykański. Zajmują się one po większej części przewożeniem osób, bo im to wygodniej. Mają zagwarantowane przez rząd oprocentowanie w wysokości 10% w zlocie od wyłożonej na budowę kwoty. Czem mniej ruchu i dochodu, tem mniej zabiegów dla centralnego zarządu; czego kolej nie zarobi, dopłaca bez kłopotu kasa rządowa.

Prócz tych stósunkowo licznych dróg żelaznych, łączących nie-liczne większe miasteczka, istnieje jeszcze kilka źwirówek i szerochich dróg polnych. Zazwyczaj większe osady mają połączenie kołowe. Nie jest to jednakowoż w Paranie regułą, bo w większej części komunikacya odbywa się na mulach, po ścieżkach między zaroślami, W dłuż linii kolejowych na drogach widać sznury wozów towarowych, które przewożą taniej towary niż kolej.

Sieć telegrafów wynosi 824 klm.

Poczta należy do związku brazylijskiego i urządzona jest jak najprymitywniej.

Oświata ogólna w Paranie znajduje się na bardzo niskim szczeblu. Szkólnictwo elementarne jest obowiązkowe i bezpłatne, lecz tylko nominalnie. W Brazylii istnieje kilka wyższych zakładów naukowych, n. p. kolegia lekarskie, pedagogiczne, prawnicze, politechnika i t. d. Większa część młodzieży wyjeżdża do Paryża na uzupełnienie nauk, lecz wszystko to razem wzięte nie przedstawia nie poważnego.

Buta narodowa, fałszywe przeświadczenie o wyższości rasy i swych rządów niby republikańskich, brak charakteru, roznamiętnienie polityczne przy miernem encyklopedycznym wykształceniu inteligencji i arystokracji brazylijskiej, utrudniają niesłychanie działalność imigrantom i zaprowadzenie reformy. Wiedzeni instynktem zachowawczym trzymają Brazylijczycy wszystkie rządy i władzę w swem ręku, wedle zasad Monroego, wiedząc o tem, że dopuszczając imigrantów do urzędów wpływowych, przestaliby wnet istnieć.

Liczna prasa podtrzymywana wyłącznie funduszami stronnictw politycznych, przyczynia się wiele do zamętu i roznamiętniania żywiołów z natury łatwo burzliwych.

Sprzedajność i złe zrozumienie obowiązków, partyjność polityczna, wywołały zupełną korupcyę w administracyi kraju, sądownictwie, wojsku i policyi, tak, że bezpieczeństwo osobiste zupełnie znikło i tylko

o tyle można się uważać w miastach parańskich bezpiecznym, o ile można liczyć na wprawę swą w używaniu rewolwera. Kto nie chce narazić się na niebezpieczeństwo, musi nauczyć się w ten sposób załatwiać swe spory, aby nikomu nie uczynić przykrości.

Handel nie przybrał dotąd znaczniejszych rozmiarów. Zaznaczyć wypada, że leży on przeważnie w ręku niemieckim i że Niemcy podobne zajmują stanowisko, jak w Polsce Żydzi. Wywóz opiera się od dawnych lat przedewszystkiem na herbacie zwanej Herva mate, prócz tego eksportuje się różnego gatunku drzewo, skóry, dawniej bawełnę i cukier trzcinyowy. Towary sprowadza się przeważnie z Niemiec, mniej z Francji i Anglii. Niemcy też ujęli główną żeglugę w swe ręce.

Przemysł rozwinięty jest stósunkowo więcej od handlu i polega na eksploatacji roślinnych i zwierzęcych skarbów krajowych, n. p. na krajaniu i mieleniu Herva mate, na fabrykacji zapalek szwedzkich, garbarstwie, stolarstwie, piwowarstwie, wypalaniu koczasu czyli wódki z kukurudzy lub trzciny cukrowej, na wyrobie i rafinerji cukru trzcinowego; w ostatnim czasie rozwinęło się szewstwo maszynowe. Rychlej czy później przeróbka i wywóz drzewa musi przybrać większe rozmiary. Daje do tego wszelki powód jakość i ilość wysmienitych gatunków drzewa.

Obraz stanu finansowego kraju daje wiele do myślenia. Coroczny deficyt w budżecie pokrywa się przez zaciąganie pożyczki. Jeżeli pójdzie tym trybem dalej, natenczas poderwanie kredytu i bankructwo stanu staną się nieuniknionemi. W kraju kursuje tylko moneta papierowa począwszy od 500 rejsów = 30 fenigom i niklowa.

Okolo siedm miast, liczących od 1000 do 5000 mieszkańców, na czele których stoi stolica Kurytyba z 20,000 dusz, stanowią centrum handlowe i administracyjne. Kurytyba, dawna siedziba Indyan leży malowniczo w dolinie wśród drzew, okolona ze wszech stron wspaniałemi górami. Z dala czyni wrażenie najpiękniejszego miasta szwajcarskiego. Posiada skwery i ogród spacerowy, ulice proste i szerokie, po większej części brukowane. Domy są murowane i co najwyżej piętrowe, małe, na jedną familję obliczone o czerwonych dachach. Oświetlenie elektryczne i tramwaj mułami ciągniony świadczą o postępowem usposobieniu mieszkańców. Jako stolica jest siedzibą prezydenta stanu i biskupa, parlamentu i licznych konsulów. P. Pohl, konsul austriacki, zasługuje na rzeczywiście wdzięczność ze strony Polaków, praca bowiem jego okolo dobra naszych wychodźców odznacza się wielkiem poświęceniem. Jest tam sąd, gimnazjum, liczne szkoły elementarne o charakterze brazylijskim, polskim i niemieckim, szpital, muzeum, w którym istnieje polski oddział i silna załoga wojskowa.

Pod względem architektonicznym różni się od starszych miast brazylijskich nadbrzeżnych, które prócz zwykłych domów o grubych murach, krytych dachówką nie osobliwego nie przedstawiają. Wygląd Kurytyby jest nowożytny, o ożywionych ulicach podobnie jak w Europie, nie przedstawia typowego, za to liczne wille przeważnie w stylu greckim, kościoły w stylu romańskim, gmach parlamentu z fasadą jońską wskazuje na gust i obecność Włochów.

Kilka lat temu była to nędzna miejscina; tak szybką metamorfozę spowodowało osiedlenie się w pobliżu kilkunastu tysięcy polskich kolonistów na tych bezludnych puszczech.

Polaków zamieszkuje w Kurytybie około 2,000. Mają oni trzy towarzystwa, z których najwybitniejsze „Tow. Kościuski“, posiada szkołę elementarną we własnym domu, w ostatnich czasach wybudowali murowany kościół. Z pism politycznych wychodzi stale „Gazeta Polska w Brazylii“. Raz po raz pojawi się na dłuższy lub krótszy czas pismo konkurencyjne. Do lepszych pism należała „Prawda“ i odznaczała się wybitnie narodowym charakterem. „Gazeta Polska w Br.“ weszła w ostatnim czasie ze zmianą właściciela na należyte tory. Właścicielem jest teraz p. Bielecki.

W mniejszych miastach i koloniach buduje się domy z drzewa. Zwłaszcza koloniści polscy bardzo mało dbają o wygody i przyzwoity dom mieszkalny, mieszkają zazwyczaj jeszcze w tym szałasie, który im zarząd kolonizacyjny z desek zbić kazał. W Rio dos Potos widziałem, że deski na kupie zgniły i gwoździe zardzewiały, z których mieli sobie osadnicy budować domy. Mieszkali chętniej w szałasach trzciny, jak Indianie, twierdząc, że nie dokucza im tam tak owad i gorączka nie dopieka.

Aby wypowiedzianym poglądom nadać lepszą spójnię, opiszę na zakończenie wycieczkę z portu Paranagua, przez kraj nadbrzeżny w głąb kraju, po płaskowzgórzu między kolonie polskie.

Okręt, na którym przybyłem z dawnego świata, zatrzymał się w zatoce, dwa kilometry od brzegu. Jak wszędzie, tak i tu wita cię najpierw hotelista Niemiec, zapraszając do siebie w gościnę. Ponieważ ujście rzeczki Itaberi, przy którym leży miasto portowe Paranagua, jest zamulone, przeto łódką dobija się do ocembrowanego brzegu portowego i staje odrazu na najprzedniejszej ulicy miasta. Robi ono wrażenie przeciętnego, starożytnego miasta włoskiego, pamiętającego lepsze czasy. Składa się z kilkunastu porządných ulic, domy zbudowane są południowo-europejskim zwyczajem, parterowe lub co najwyżej piętrowe o grubych ścianach pod dachówką. Jest kilka pięknych kościołów i klasztor Sióstr miłosierdzia, szkoła, wiele najróżnorodniejszych

handli na wielką skalę, domów komisowych reprezentujących równocześnie konsulaty różnych państw, wiele karczem, kilka przyzwoitych kawiarni i hoteli. Więzienie o wielkich zakratowanych oknach bez szyb, przez które można swobodnie z ulicy obserwować więźniów siedzących w wielkiej sali. Co kraj, to inny obyczaj, mówi przysłowie, lecz tego wypada w całej pełni doświadczać w Brazylii. Ponieważ pociąg wążkotorowej kolei, należącej do towarzystwa belgijskiego, w głąb kraju na płaskowyż chodzi tylko raz dziennie i już był odszedł, przeto musiałem pozostać do dnia następnego. Nie zamieszkałem, mimo zaproszenia u Niemca, bo przybyłem na to, aby poznać stósunki brazylijskie. Stałem w Hotel de commercio, imponującym swem położeniem. Przed hotelem piękny ogród i nadzwyczaj piękne palmy królewskie. Wnętrze hotelu proste, potrawy piekące od papryki na sposób brazylijsko-portugalski przyrządzone, są na dłuższy czas dla polskiego żołądka nie możliwe. Jak w całej Brazylii, tak i tutaj oddzielnych pokojów dla gości w hotelach niema, wyjątek stanowią tylko hotele niemieckie i hotele po wielkich miastach. Ogólna sala poprzepierana na wysokość człowieka deskami na maleńkie alkierzyki, stanowi przytułek, gdzie można złożyć swe kufierki i przespać się, pozostając z dobytkiem i życiem na łasce nieznanomych i nie bardzo zaufania godnych sąsiadów. W Paranagua i pasie nadbrzeżnym, tropikalnym zamieszkują tylko Brazylijczycy i Włosi. Polaków jest tylko kilku, bo nie gustują w gorącym klimacie. Następnego dnia pospieszyłem na kolej, aby się udać do Kurytyby, stolicy kraju. Zasiadłem z ostrożności w wagonie pierwszej klasy, (nawiasem mówiąc tylko dwie klasy istnieją), zadziwił mnie zaraz na wstępie plakat zupełnie nie republikańskiej treści, zapowiadający: „Pasażerom pierwszej klasy nie wolno boso podróżować“. Drugą lecz miłą niespodzianką była ta, że sąsiad mój był Polakiem. Zaraz też poczęliśmy gawędkę, w tem wchodzi murzyn konduktor po bilet, słysząc nas mówiących po polsku odzywa się również do nas po polsku. A zkaż pan umiesz po polsku? — spytałem czarnego. — Służyłem w kolonii polskiej u Warszawiaków — brzmiała zupełnie poprawnie odpowiedź.

Pociąg pędzi wśród równiny bagnistej, w gąszczu z trzciny bambusowej, mimoz i palm, gdzie nigdzie z zarośla wyrzy nędzny szalas brazylijskiego osadnika lub strażnika kolejowego, przed nim tłum nagich dzieci i w półodzianych starszych ludzi o żółtej cerze i kruczych włosach, spoglądając ciekawie. Wśród bujnej zieleni w miarę tego, jak pociąg się wznosi, mignie raz po raz czerwony daszek włoskiej osady, okolonej uprawnemi ogrodami z trzcina cukrową, podobną do naszej kukurudzy, bananami o liściach olbrzymich, wyższych od czło-

wieka, batatami słodkimi, maniakiem, tytoniem, ryżem, warzywami i t. p.

Przybywamy na stację Moretta. Jestto miasteczko starsze, przemysłowe. Wyrabiają tu cukier trzcinowy i gorzalkę z trzciny cukrowej koszasem zwaną, rodzaj podlego rumu. Okolice zamieszkałą jest przez murzynów i Włochów. Spragniony kupiłem od murzynki za 200 rojsów czyli 12 fenigów olbrzymi i bardzo smaczny ananas. — Pociąg rusza i poczyna wznosić się w górę wśród plantacyi. Wkrótce pojawia się na widowni podzwrotnikowy las z swą zbytową bujnością flory, przerywany granitowymi skałami, po których staczają się strumyki, tworząc najpiękniejsze kaskady okolone srebrzystym deszczykiem z rozbitej wody. W dali cudowny widok na zatokę morską, po której płyną żaglowce a co przy promiennym blasku tropikalnego słońca wpaja widzowi przekonanie, że to nie las, ale rama z smaragdowego aksamitu, nie woda, ale olbrzymie lustro, po którym sunie stado łabędzi. Z zarośla aż pod koła wagonu sięga zielony kobieriec, upstrzony w kolorowe desenie kwiatami kaktusów, begonii różowej i złocistej, krotonu, erysmy fioletowej i t. d. Nawet szkielety uschłych drzew nie budzą smętnej myśli, bo pokryły się licznymi strojnami pasożytami, j. n. storczyki, bromelie, mchy różnokształtne. Do gałęzi żywych olbrzymów drzewnych czepia się najpierw niezliczona ilość najróżniejszego gatunku ljan tj. cienkich i giętkich drzewek podobnych do lin i pnących się, aby między ulistnieniem gospodarza — bliżej światła rozłożyć swoje liście i spleść korony drzew całego lasu dziewiczego w jednolity dywan. Do ljan czepiają się tysiące powojowatych i podrzędniejszych roślin, przeskakując z jednego do drugiego drzewa w kształcie girland i arabesk a u stóp, jeżeli się promyk światła jeszcze do ziemi przedrzeć zdoła, pojawia się trzcina lub inne pomniejsze rośliny. To razem wzięte przedstawia się zdala jako zbity, zielony mur, pełen ponęty dla wycieczkowców i jest to równocześnie odwieczne pole głuchej i niemej walki o byt.

Czem wyżej podjeżdża pociąg, tem więcej zmienia się krajobraz. Z wysokości przeszło tysiąca metrów, jakby się lotem ptaka unosiło nad górami, roztaczają się najpiękniejsze szwajcarskie widoki na góry, doliny pokryte dziewiczym lasem, którego prawdopodobnie nie tknęła jeszcze stopa ludzka. Na wysokości 1045 m. wjeżdżamy do tunelu i rozpoczynamy, ujrawszy znów świat boży, na dobre obserwować budowę drogi żelaznej. Jestto prawdziwe arcydzieło francuskiej sztuki inżynierskiej, nie ustępujące drodze żelaznej św. Gotharda. Widząc przed sobą przerwy i strome ściany skał, nie podobna wyobrazić sobie, żeby takie przeszkody naturalne przebyć można. Pociąg ciężko dysząc,

bo na każde 100 metrów musi się wzbąć 1—2 metry w górę, wije się gzygzakiem ponad przepaściami i w tunelach. Zakreśla na szalenie powykuwanych lub murowanych wiaduktach i mostach, jak gniazda jaskółcze poprzyczepianych do stromych ścian skalnych, śmiałe łuki i osemki. Na zakrętach widząc równocześnie wyżej i niżej położony tór kolejowy, odnosi się wrażenie, jakoby dwie koleje biegły równolegle. Następuje około 10 tuneli i pociąg, sunąc się ze skały na skałę po żelaznych mostach, jak kozica nad bezdenną przepaścią w węzowatych zakrętach potoku S. Joao, wkrótce dobiega płaskowzgórza.

Teraz odkrywa nam się zupełnie inny krajobraz; wstąpiliśmy z powodu znacznego podniesienia się w strefę odmienną, umiarkowaną. Las ciągnie się jak dotąd, lecz zupełnie innego wyglądu, znikła nadmierna bujność roślinna, palmy a i w ich miejsce pojawiły się araukarye zbliżone do naszych sosien i wysoka trzcina takuara, podobna do bambusu. Wkrótce i las rzednie, ustępując uprawnym polom naszych kolonistów. Kukurudza, żyto, fasola czarna, ziemniaki zajmują nasz widokrąg i miejsce poprzedniego o ziemiopłodach podzwrotnikowych.

Charakterystyczne stroje i ruchy ludu pracującego w polu i kręcącego się przy domu, naprzemian drewniane i murowane domki pod dachówką, stadka bydła na pastwisku, na którym wytrząskuje biczem typowy Macioś, a najzupełniej dźwięk naszej mowy polskiej na najbliższej stacji, to wszystko przekonuje nas, żeśmy między swoimi.

Pociąg przebywszy pasmo gór w poprzek, poczyna cokolwiek się zniżać i staje w końcu na dobre na płaskowzgórzu. Wkrótce wjeżdżamy na pierwszy step czyli „campos“ parański, pokryty krótką, szorstką trawą. Służy on za pastwisko. Pod wieczór stanąłem w stolicy kraju, Kurytybie a wysiadłszy z wagonu i zacerpnąwszy świeżego powietrza, uczulem, że jest miłe, górskie jak w Zakopanem, tylko cieplejsze.

Hotele znalazłem zajęte i dopiero po długim szukaniu udało mi się ulokować w izdebce na poddaszu Hotelu de Rome u Włocha. Zjadłszy kawałek twardego i włóknistego mięsa, jakim ono ogólnie w Paranie bywa i napiwszy się po raz pierwszy herwa mate, która mi także nie przypadła do gustu, udałem się na spoczynek. Niestety wkrótce rozpoczęły większe i mniejsze moskity swoje żalobne hymny nad mą głową wyśpiewywać, tak, że o zaśnięciu ani marzyć nie mogłem; raz popadałem w gniew, drugi raz w podziw nad melancholijną nutą, utrzymywaną w jak najczystszy molla.

W dalszym ciągu wycieczki puścimy się ku południowi, po płaskowyzu przez miasteczko Rio Negro do Luceny, znacznej kolonii wy-

łącznie polskiej, położonej już nad granicą stanu Św. Katarzyna, a sąsiadującej bezpośrednio z dzikim i groźnym szczepe Botokudów.

Wyjeżdżam z Kurytyby koleją, w drugiej klasie, towarzyszą mi niemal sami Polacy. W niespełną godzinę przyjeżdżamy przez pola kolonii polskiej Tomasz Koelio. Ochrzczono ją nazwiskiem fundatora, jak się to zazwyczaj w Brazylii praktykuje. Jestto największa kolonia w okolicy Kurytyby, posiada dwa kościoły, szkołę rządową, liczy około 10 tysięcy mieszkańców. Składa się z Galicyan i Ślązaków, którzy się już dobrze zagospodarowali. Mieszkają w przyzwoitych domach murowanych, grupami, kolonia jest tak bardzo rozległa, że w Poznańskim powiat nie zajmuje takiego obszaru.

Najbliższą stacją jest Araukarya, osada na pół polska z kościołem polskim. Dalej stacje Guazuwira, osada z przewagą Polaków. Stacja Balsa nova, w lesie dzikim. Pociąg pędzi w zaroślach wzdłuż brudnej rzeki Iguassu, w ciągłych zakrętach tuż przy podnóżu skał. Krajobraz się zmienia, wyjeżdżamy bowiem na step. Na stacji Serrinja pociąg się rozchodzi. Przejeżdżamy przez szeroki żelazny most nad rzeką Iguassu. Jestto coś nadzwyczajnego dla oka przywykłego oglądać tylko dzieła przyrody i domki drewniane. Brzegi Iguassu są skaliste, oszlifowane, z kądem można wnosić, że stan wody musiał być dawniej bardzo wysoki. Kilkadziesiąt kilometrów dalej na zachód nad tą samą rzeką leży kilka wielkich kolonii polskich. Step ciągnie się dalej, jest pagórkowaty, podkład skalisty, pokryty tylko 30 do 10 cm. warstwą żółtopiaszczystej ziemi i porosłej jarką trawą. Wśród zielonego kobierca w odległości kilku kroków jeden od drugiego jaśnieją żółtą barwą piaszczyste, kopułowate kopce, dość wielkie, wewnątrz puste, usypane przez rodzaj wielkich mrówek. Niekiedy można ujrzeć stadko pasącego się bydła i słyszeć przeraźliwy świst lokomotywy w celu spędzenia go z toru kolejowego, gdzie z szczególnem zamięłowaniem udaje się na spoczynek. Nasyp kolejowy biegnie w ciągłych esowych zakrętach z powodu niby nierówności terenu a w rzeczywistości dla tego, że rząd normuje opłatę procentów kapitału od kilometra.

Przybywamy do miasteczka Lapy. Podobno jest ono najstarszem w Paranie, okolone stepem, na wschód widnieje fantastycznie w blasku słonecznym pasmo gór Lapae; liczy około 4000 mieszkańców i przedstawia się bardzo miernie. Domy murowane wskazują na lepsze dawniejsze czasy. Widocznie do upadku miasta tego przyczyniła się kolej, która ruch handlowy w inną skierowała stronę. W r. 1893—94 przetrzymała Lapa kilkumiesięczne oblężenie przeciw powstańcom i przyczyniła się do rozstrzygnięcia zwycięstwa partyi rządowej. Za

mej bytności stanowiła Lopa duchową potęgę w walce przeciw wszechwładnej parańskiej masoneryi. Walka skończyła się tragicznie zabiciem skrytobójczem księdza przywódzcy.

W pobliżu miasta osiedli na koloniach Kontenda i Agua Amarilla Polacy i Rusini, w kolonii Marienthal na stepie Niemcy, dawniejsi koloniści z Rosyi.

Opuściwszy Lopę, wjeżdżamy w las pinjorowy (araukaryowy), teren staje się górzystszym. Przybывamy do Rio Negro, miasteczka o dwóch tysiącach mieszkańców, gdzie się kolej kończy a zaczyna być spławną rzeka tej samej nazwy.

Miasteczko Rio Negro jest bardzo malowniczo położone, wśród lasu, po obu stronach brzegu rzeki a połączone wspaniałym żelaznym mostem, jedynym w całym kraju. Przed kilku laty liczyło zaledwie kilkanaście nędżnych lepianek, dziś podniosłszy się z amerykańską szybkością, posiada bardzo przyzwoity wygląd i należy do ważnych punktów handlowych. Po rzece kursują parowce a do stanu Św. Katarzyna prowadzi wyborna droga kołowa. Zamieszkałe jest to miasto przeważnie przez Niemców katolików z Austrii i Brazylijczyków, Polaków jest bardzo mało. Proboszczem miejscowym jest ksiądz prałat Bronikowski a lekarzem dr. Piechnik z okolic Krakowa. Ks. prałata nie zastałem z wieczora w domu, następnego rana około godziny 5tej przebudziło mnie ze snu gwałtowne stukanie do drzwi. Zrywam się i jednocześnie chwytając za nieodstępno przyjaciele - rewolwer, pytam: któż tam? Otwieraj drogi ziomku! To ja ks. prałat Bronikowski! brzmiała odpowiedź. Z odpowiednią ostrożnością i lułą wycelowaną w powstającą szczelinę odmykających się drzwi przekonałem się po fioleciech, że gość mówi prawdę. Ks. prałat pochodzi z Ostrowa i po różnych drogach krocząc, jak wielu księży polskich w Paranie, dostał się do Rio Negro. Przenocowałem się w hotelu niemieckim, jestto dom z drzewa a ponieważ nędzne schroniska były już zajęte, przeto cieszyłem się, gdy mi wskazano zabitkę na poddaszu. Za wstawieniem się dr. Piechnika, który zażywa w mieście wielkich wpływów, dostałem konia do dalszej podróży ku Lucenie, około 40 klm. odległej. Z rana puściłem się w drogę w towarzystwie jakiegoś młodego Brazylijczyka, który wracał od znachora a zdążał za Lucenę. Dzień był strasznie gorący, droga polna z początku, jak na stosunki brazylijskie, wyśmienita, przeto pędziliśmy jak wiatr. Niezadługo wjechaliśmy do lasu przeważnie pinjorowego, który nam towarzyszył aż do końca drogi. Początkowo napotykalimy wśród drogi tu i owdzie osadę lub większą farendę (dwór), pola uprawne, w połowie drogi nawet karcznię niemiecką, potem zdala na pagórku raz po raz kukyrudzę w końcu tylko

gęsty piniorowy las, lub wyższą od lasu trzcinę, takuarą zwaną. Po południu zrobiło się chmurno, potem zaczął padać wyjątkowo łagodny deszczyk, bo deszcz brazylijski spada zazwyczaj w wielkich kroplach i gwałtownie. Wszystkie drogi, ścieżki i niziny stoją w mgnieniu oka pod wodą, a ziemia ślizka przylepia się do kopyt. Deszcz padał kilka godzin; miałem wprawdzie płaszcz gumowy, lecz niemożliwym było dla gorąca na czas dłuższy go przywdziać. Mój towarzysz, rozebrawszy się aż do kostiumu adamowego i związawszy odzież w tobolek, pożyczył mi swej ponszy. Jestto dera wełniana z dziurą w środku do przetknięcia głowy i nosi się jak ornat. Mało to pomogło, bo przemokłem zupełnie. Pod wieczór zrobiło się zimno i drżałem zziębły jak liść osinowy, lecz ku wielkiej radości ujrzelśmy pierwsze domy Starej Luceny. — W karkołomnym, spadzistym wąwozie trafiliśmy na pijanego kolonistę polskiego, który wiózł pijanego do nieprzytomności towarzysza, rozłożonego na wozie. Zoczywszy nas, przystąpił zaraz z propozycją ścigania się i od słów natychmiast przyszło do czynu. Wóz w szalonym pędzie toczył się z góry za nami, nie mogliśmy ani przystanąć, ani wyminąć, bo po obu stronach wąskiej drożyny wznosiły się ściany spadziste i tak pędziliśmy na traf szczęścia. Dopadłszy wreszcie szerszego i równiejszego miejsca, zeskokczyliśmy na bok. Sportowiec, który zgubił już pijanego towarzysza, zatrzymał się również. Niezdołały go najusilniejsze moje prośby i przedstawienia od dalszych karkołomnych wyścigów powstrzymać, aż Brazylijczyk rzekł do mnie: znam tych ludzi, z nimi pan w dobry sposób nie nie wskórasz a obróciwszy się do pijanego kolonisty i przykładając mu pistolet do głowy rzekł: „jeźdź naprzód, lub za nami, jak chcesz, lecz skorobyś tylko spróbował dalszych wyścigów w tym wąwozie, dostaniesz kulą w łeb“. To poskutkowało, zuch chłop zapomniał odrazu języka w gębie i straciliśmy go z oczu. Zdarzenie to bolało mnie, dowodzi ono, że zaniedbanie ludu galicyjskiego w oświacie mści się na nim jeszcze za morzem; wyszedłszy nagle z pod ucisku i wpływu korupcyi żydowskiej do złotej wolności brazylijskiej, przeistacza się w żywioł prawie niemożliwy do społecznego zorganizowania.

Nareszcie zaczyna las rzednąć, wśród drogi pokazują się ludzie, domostwa wśród pól; — wjeżdżamy w końcu do Starej Luceny. Składa się ona z kilkunastu domów, po większej części murowanych i przyzwoitych. Są większe handle, hotele, urzędy, apteka, szkoła, poczta, piwowarnia i kościółek drewniany bez księdza. Robi wrażenie małego miasteczka. W ostatnim czasie powiększył się zastęp przemysłowców i kupców polskich a najwybitniejszym z nich jest p. Węgrzynowski, który piastuje równocześnie różne urzędy.

Około 7 klm. za Starą Luceną leży właściwa wielka osada Nowa Lucena, założona 1892 r. Droga do niej dość dobra. Wjeżdżamy pod wieczór, wśród deszczu i ogromnego błota, tak że z konia zejść trudno. Za środek kolonii na 20 klm. rozległej uznałem kościół; nie jest to środek geograficzny, ale duchowy, w pobliżu którego znajduje się kilka drewnianych domków, położonych, jak zazwyczaj, wśród bujnej zieleni. Zajeżdżamy do pierwszej, potem do drugiej wendy czyli sklepiku z karczmą połączonego, gdzie wedle zwyczaju amerykańskiego w przymuszonej harmonii obok siebie, na kramnicy leżą szarka, czyli suszone mięso, książki do nabożeństwa i szare mydło, na drągu wiszą kielbasy suszone, buty, banany i baty, na półkach zaś znajduje się maź na osie, smalec, nafta, piwo, ocet, gwoździe, skrzypce i pomarańcze.

Prosimy o nocleg, lecz nigdzie nas przyjąć nie chcą, uniewinniając się brakiem miejsca a w gruncie rzeczy z obawy przed ludźmi nieznanymi. Zmęczony, zziębły i zmokły postanowiłem prosić księdza o gościnność. Mój towarzysz Brazylijczyk nie wiele się o to wszystko troszczył, usłyszawszy ostatnią odpowiedź wendysty, rozłożył się pod najbliższym drzewem. Rozebrał swe siodło brazylijskie, zrobił z niego posłanie a konia puścił na trawę.

Księdza nie zastałem w domu, był natomiast jego kucharz, kościelny i nauczyciel gminny p. Wielobycki, reprezentujący godnie w swej osobie wszystkie te urzędy. Z „Gazety Polskiej w Brazylii“ wiedział już o mej podróży po Paranie, — doznałem więc jak najgościnniejszego przyjęcia. Pan Wielobycki przyodział mnie w suchą odzież, podał gorącej herwy mate z jajecznicą, znaleźli się ciekawi i rozpoczęła się gawędka.

Drewniana plebania składała się tylko z izdebki i kuchenki, które zamieszkiwał ksiądz z dwoma gośćmi. Z żartów przenieśliśmy kilka dni później w sześciu plebanią tę o kilka łokci dalej. Po powrocie księdza za jego wstawieniem się znalazłem nocleg w wendzie p. Stachowskiego, pochodzącego z Jutrosina, na strychu dostałem przyzwoitą pościel a wikt, jakiego od wyjazdu z Hamburga nie miałem, na probostwie. Proboszcz luceński — ks. Wyszyński, były katecheta warszawski, przybył do Parany wiedziony chęcią służenia opuszczonemu ludowi polskiemu. Bezinteresowna niemal pod względem materyalnym praca jego i własne środki materyalne, któremi rozporządzał, ułatwiły mu jego ciężkie zadanie; choć zwolna, wprowadza on ład w rozprężonej parafii, zyskując przytem na powadze, którą poprzednicy jego mocno podkopali. Dawniejszy proboszcz był samozwańczym księdzem, jakiś oszust z Północnej Ameryki, narobił wiele złego; przy

usuwaniu go byłoby o mało co przyszło do rewolucyi, wywołanej ze strony oszołomionych, zwłaszcza kobiet, które mu miano Śtgo Anoniego nadały.

Kościół jest drewniany, dość wielki w guście, w jakim wiele u nas po wsiach bywa, wewnątrz dość pusty, mieści w wielkim oltarzu obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Organów w nim nie ma. Po skończeniu nabożeństwa gromadzi się lud na dziedzińcu kościelnym, odśpiewywuje gromadnie kilka pieśni narodowych, poczem się rozchodzi. Parafia jest tak rozległa, że niektórzy parafianie z krańców w sobotę na południe wychodzą z domu, aby zdążyć na sumę niedzielną.

W pobliżu kościoła znajduje się szkoła prywatna, gminna, składająca się z izby dla dzieci i z izby z kuchenką dla nauczyciela. Uczniów i uczennic było około 30tu. Nauka najelementarniejsza składała się z rachunków, ćwiczeń w czytaniu i pisanii polskiem. Rodzice placą nauczycielowi za naukę miesięcznie, od każdego dziecka. W niedzielę pisuje w szkole nauczyciel kolonistom listy do ich krewnych za morze.

Kościół stoi na wzgórzu, z jednej strony znajduje się gęsty las, w drugich kierunkach jest las przetrzebiony, tutaj przedstawia się przecudna panorama. Krajobraz przypomina widoki z okolic Nowego Sącza z Galicyi. Naokół zarysowują się w dali na eteryczno-niebieskiem tle szczyty gór, środkowa część poprzerzynana w różnych kierunkach pagórkami, dolinkami i parowami pokrytymi ciemno-zielonym lasem araukaryowym. Pod wieczór na dalekim widnokręgu widzieć można słupy dymu wznoszącego się ku niebu; są to ogniska Botokudów, najgroźniejszego szczepu indyjskiego. Nigdy tam jeszcze nie powstała noga intruza. Baczni i czujni strzegą Botokudowie z największą starannością swych siedzib, żyją odosobnieni, bez najmniejszej łączności z resztą świata. Ścieśniani na coraz to mniejsze terytorya, postanowili zginąć a nie poddać się cywilizacyi. Przestrzegają oni tej zasady w tej mierze, że matka zabija własne dziecię jako zbezczeszczone, jeżeli go dotknęła ręka najeźdźcy. Z tych powodów dzieci botokudzkie, które popadły w jakikolwiek sposób w ręce kolonistów, zatrzymuje się i wychowuje a, jak się okazało, są one bardzo zdolne do umysłowego rozwoju. Z polskimi osadnikami żyją Botokudzi w znośnym stósunku, choć bezpośrednia styczność z nimi nie istnieje. Były wprawdzie po kilka razy bardzo krwawe zajścia; i tak w roku 1892 zginęło 18 osób z polskiej strony, w r. 1901 również kilku mężczyznu, kobiet i dzieci w napadzie przez Botokudów urządzonym, otwarcie mówiąc były do tego powody. Osadnicy zabrali im za wskazówką rządu, mimo prze-

stróg ich, święte miejsca i równocześnie urządzali strzelcy brazylijscy obławę botokudzką. Mimo to śmierć napadniętych osadników została przez pościg polski pod przewodnictwem ks. Iwanowa krwawo pomoszona. Gdy włoskie lub niemieckie dziecko wejdzie do lasu zabawić się, zazwyczaj nie wraca. Nigdy jeszcze nie było wypadku, aby zginął Polaczek. Niektórzy koloniści polscy twierdzą, że zetknęli się już z Botokudami w lesie i rozeszli się zgodnie. Przypisać to można tej okoliczności, że Polacy nie urządzają sobie ohydnych polowań botokudzkich, uważając to za sprzeczne z przykazaniem Bożem. Inaczej zapatrują się Niemcy i strzelcy brazylijscy, tępią więc nieszczęśliwych na równi z drapieżnym zwierzem, twierdząc, że tylko „Ausrotten ist das einzige Radikalmittel“, lecz wobec tak barbarzyńsko-marsowych zasad, nie posiadają jednak tyle odwagi, aby swoje czyny własną pokryć odpowiedzialnością, mażą sobie bowiem przed wyprawą twarz farbą, aby ich dzieci poznać i później pomścić swej krzywdy nie mogli. Botokudzi umieją rozróżniać nieprzyjaciół, wyśmienicie znają swych spokojnych sąsiadów, bo przychodzą wieczorem podglądać do ich okien. Należą oni do najstarszych szczepów amerykańskich o wybitnie mongolskich rysach. Pożycie ich jest surowe wśród wielożeństwa. W dolnej wardze i w miększu uszu, rozciętych i okropnie rozepchniętych noszą wtłoczone tarcze z drzewa. Są tchórzliwi i broni palnej bardzo się boją. Pod względem kultury stoją tak nisko, że nawet kamieni łupać nie umieją a do wyrobu swych narzędzi i sprzętów używają drzewa, włókien roślinnych, kości; metalu zaś nie znają. Broń ich stanowią łuki i maczugi. Inżynier p. Saporski, senior imigrantów polskich w Paranie, zapewniał mię, że starszy Botokud, wzięty do niewoli, nie przyjmuje żadnego pożywienia i zamiera z głodu.

Wedle mego obliczenia stanowi osada Lucena kompleks około 20 klm. długi i tyle szeroki, poprzecinany drogami w części kołowemi, w części dla konia lub muła tylko przystępnemi. Co parę set metrów stoją przy drodze chałupy osadników, sklecone z tarcic, kryte szkułdłami, czasami obok chałupy widnieje stajenka lub jakie inne zabudowańko. Przed domem znajduje się zazwyczaj ogródek z kwiatkami, obok domu po większej części młody las, cienki i różniący się od dziewiczego; jestto tak zwany ugór. Ugór odpoczywa 5—6 lat i zamiast trawą, jak u nas, porasta drzewami. Po upływie wspomnionego czasu las się ścina i po uschnięciu spala; pozostający popiół stanowi umierzwienie. Pole uprawne znajduje się głębiej. Każdy osadnik mieszka na swej działce wynoszącej 25—30 hektarów, z których tylko bardzo małą część kolejno obsiewa, reszta służy bądź za pastwisko lub leży nie tknięta. Po spaleniu lasu dziewiczego, nie troszcząc się

o pozostałe pnie, wybija się zaciosanym dragiem lub motyką dolki i wkłada w nie nasiona kukurudzy lub t. p.; gdy z biegiem czasu pnie miękkich drzew próchnieją, twardsze, pozostałe po imbui i polisandrze rудuje się i wprowadza się do gospodarstwa pług. Koloniści nasi uprawiają kukurudzę, fasolę, żyto, maniok, pszenicę, len, konopie, kartofle, cebule, tytoń i różne jarzyny.

Wino i tabaka udają się doskonale, lecz bywają uprawiane tylko w koloniach włoskich. Jabłonie, grusze europejskie nie znalazły podatnego gruntu, rozwijają się licho i wydają owoc zdrzewniały, twardy, za to pigwy udają się wyśmienicie. Pszczoły istnieją w kilku gatunkach, z tych czarne małe są bardzo pracowite i wytrzymałe, dają atoli miód kwaskowaty. Zwierzęta domowe są te same co w Europie. W miejsce konia używa się najchętniej muła, jest on odpowiedniejszy dla lichych i kamienistych dróg i ścieżek. Zwierząt drapieżnych jest stósunkowo bardzo mało. Są jaguary, pumy, żbiki, wydry. Jako szkodników głównych uważa się dziki, tapiry i małpy, z ptaków papugi. Nie małe niebezpieczeństwo dla ludzi i bydła stanowią różne gatunki węży, których jest bardzo wiele.

Do głównych źródeł dochodu osadników polskich w Paranie i głównego przemysłu krajowego należy zbieranie i doprawianie liści z drzewa *Herva mate* (*Ilex paraguayensis*), które dają gatunek herbaty konsumowanej w południowej części południowej Ameryki. Jestto niewielkie drzewo o białawej korze, liściach lancetowatych, żółtawozielonej barwy. Przyprawianie herbaty odbywa się w ten sposób, że odcięte gałęzie z liśćmi przeciąga się z ręcznie nad ogniem, aby je zwarzyć, następnie suszy i wędzi się je rozwieszzone w szalaszach, omlaca później cepami, sypie w bambusowe kosze lub skórzane wory i wysela na mułach do młyna, gdzie je mielą na proszek lub krąją drobno.

Smak napoju z hervy, wedle mego pojęcia, jest mdły, przypominający rozmaryn, można jednak do niego przywyknąć i polubić go. Zawartość pod względem chemicznym jest podobna do herbaty chińskiej. Drugi dość znaczny dochód stanowią lasy. Z drzew najpospolitszych wymienić należy sosnę *Araucaria brasiliensis* w języku kolonistów piniorem zwana. Dochodzi ona 40 metrów wysokości i do 3 mtr. średnicy, daje wyśmienity budulec. Na drzewie araukaryowem nie znać pierścieni rocznych, ma ono w ogólności własności drzewa topolowego i na wpływ wilgoci nie jest wytrzymałe. Araukarya daje owoce (szyszki) wielkości głowy ludzkiej, podobne po rozbiciu do kasztanów pod względem wyglądu i smaku, które stanowią dla krajowców ważny materiał spożywczy.

Imbuja (*Bignonia paranaensis*), drzewo grube, nie zbyt wysokie, posiada ogólnie własności dębu naszego. Opiera się działaniu wody i nawet bez szelaku w politurze przybiera piękny połysk koloru czerwonego. Cedr biały i czerwony rośnie we wszystkich częściach Parany. Taroman daje drogocenne i nadzwyczaj twarde drzewo. Polisander istnieje w kilku gatunkach. Dąb rośnie w lasach gorących, używa się jako budulec i materyał na meble. Sassafras używa się na meble i w medycynie. Arveira nie gnije w wodzie, kory używa się w garbarstwie. Cipo-ljany znajdują użyciek w miejsce lin.

Ludność Luceny stanowią bliżej środka wychodźcy Królestwa Polskiego, na dalszych osadach późniejsi przybysze z Galicyi, tak Polacy jak Rusini. Żyją ze sobą zgodnie. Po przebyciu bardzo ciężkich początków dorobili się tyle, że mogą zaspokoić najpotrzebniejsze wymogi życiowe. Pracują bardzo mało, zaledwie kilka tygodni na rok.

Główne zajęcie i rozrywkę stanowi gawędka. Na długim wyróconem drzewie, jak bociany na kościele przed odlotem, rozsiada się gromada, zapalwszy cygaro z własnej tabaki i własnej roboty, długości i grubości dobrze wyrosłej marchwi, rozpoczyna się dysputa, codziennie niemal na jeden i ten sam temat. Przebija z niej obawa: „oby te nasze pany i te Żydy psiewiary nie przyszli za nami“.

Pogłoska rozsiana przez filutów kurytybskich o przybyciu szlachty galicyjskiej z żydami do Parany, dała rzeczywiście powód do zamieszania między kolonistami.

Do większych zarobków mogą mieć pretensye tylko osadnicy w pobliżu większych miast, dokąd mogą sprzedawać swoje wytwory. Osadnik zdala od kolei, od dróg wodnych, większych miast, które są jedynemi konsumentami w Paranie jego produktów, nie może stanąć z swymi ziemioplodami wprost w styczność z konsumentami i musi się zdać na łaskę handlarzy czyli pośredników, którzy dostarczają mu z jednej strony wszystkiego, co potrzebuje, drogo, z drugiej zaś strony odkupują jego ziemioplody po cenach jak najniższych. Handlarzewendyści zajmują więc wśród naszych korzystne stanowisko. Przy załatwianiu interesów kolonisty z kupcem po większej części pieniądź wcale nie wchodzi w użycie, handel odbywa się drogą wymiany.

Dobiegając kresu, zaakcentować muszę, że smutne obrazy z życia i przygód wychodźstwa naszego w Brazylii, jakie prasa nasza nam przynosiła, są zupełnie na prawdzie oparte i że kolonizacya polska w Paranie toczyła się po trupach współbraci, wśród łez, przekleństw, nędzy a co najgorsza hańby moralnej. Może nie mniej było potrzeba ofiar, jak ponieść były zmuszone inne narody, zdobywając dla siebie nowe kraje orężem. Przyczyniła się do tego z jednej strony ciemnota na-

szego ludu, z drugiej opieszałość rządu brazylijskiego w ogólności a niesumiennosc niektórych urzędników jego w szczególności.

Parana nie jest najidealniejszym krajem, lecz godzę się tu zupełnie na słowa Dmowskiego: „Zkąd my Polacy, nie mając odpowiednich warunków, żądać możemy coś najlepszego?“

Jednakowoż to, cośmy zdobyli i posiadli, krwią i potem uświęcili, tego nie powinniśmy z ręki wypuszczać!

Ile poświęcają narody w celu osiągnięcia kolonij i jakie one znaczenie mieć muszą dla kraju macierzystego, przekonujemy się z tego faktu, że Anglia, aby wyrzeć Burom Transwal, poświęciła dotąd 5 miliardów marek a Niemcy, którzy posiadli w Afryce kolonie piaszczyste lub niezdrowe, wydają na każdego kolonistę rocznie przeszło 6 tysięcy marek.

